

WIECZORY RODZINNE.



SŁOŃ.

— O jej, jaki potwór tu stoi! Moja mateczko, nie podchodźmy do tego zwierzęcia, bo nas ugryzie!

W ten sposób wykrzykiwała mała Jania w ogrodzie zoologicznym, kiedy z mamą zbliżała się do słonia. Mama się roześmiała.

— Jakaś ty niemądra! — rzekła — obawiasz się najłagodniejszego stworzenia.

— Pocóż on tak swą trąbę ku nam wysuwa?

— Bo sądzi, że mu co damy.

Mama sięgła do woreczka, wydołała z niego jabłko i pokazała słoniowi. Zwierz wysunął jak mógł swą trąbę w kierunku jabłka i bardzo zręcznie wziął owoc z ręki. Później Jania rzuciła mu drugie jabłko na ziemię; stół podniósł je szybko. Jania oswoiła się zupełnie ze zwierzęciem i zaczęła mu się baczenie przyglądać.

— Mamusiu, na co słoniowi takie kły duże, jeżeli on jest łagodnym i dobrem stworzeniem?

— Kły, moje dziecko, potrzebne mu są do przenoszenia ciężarów, do kopania dołów, do odrywania korzeni; no, a jak kto napada na niego, to się nimi broni.

Największą jednak siłę stół ma w trąbie. Chodząc po lesie z wielką łatwością obłamuje nią drzewa i gałęzie, które mu za pożywienie służą. Ciekawem jest bardzo pożycie słoni.

Zwierzęta te gromadzą się w stada, czasem do 200 razem; wybierają z pomiędzy siebie wodza i słuchają go we wszystkim. Zostaje nim stół najroztropniejszy.

Ma też on nie mało roboty: czuwa nad całym towarzystwem, wybiera w lesie najdogodniejsze miejsce pobytu i w razie napaści broni swych towarzyszy. Stół należy do zwierząt bardzo zmyślnych i wiele ludziom usług wyświadczą. Oswaja się prędko, a słucha i rozumie każde słowo swego pana. Stół wyuczony ciągnie wozy, przenosi ciężary, uczestniczy w łowach a czasem wraz z człowiekiem bierze udział w wojnie. Jest przytem bardzo wytrzymały i cierpliwy, ale rzadko kiedy przebacza krzywdy doznane.

W pewnej wsi indyjskiej był stół oswojony. Co rano zabierał trąbą wiadro i przynosił wody z pobliskiej wsi! Znali i lubili wszyscy to dobre zwierzę. Pewien szewc szczególnie dużo mu okazywał przyjaźni. Stół wiedział o tem; często zatrzymywał się przy oknie

rzemieślnika, wsuwał trąbę, oglądał się po pokoju, czasem dostawał co do zjedzenia i odchodził z powrotem.

Pewnego razu syn szewca, mały chłopiec, chciał splatać figła słoniowi. Gdy zobaczył w oknie trąbę słonia, ukłuł go silnie igłą.

Słoń prędko zawrócił, poszedł do stawu nabrał w trąbę wody i przyszedł znów pod okno.

— A czego tu sobie życzy pan stół? — pyta swawolnik — czy dobrze igła smakowała?

Słoń wtedy skierował ku niemu swą trąbę i obiał go wodą.

— Piękne za nadobne! — rzekł ojciec do syna.

Historyjkę tę o słoniu opowiedziała mama swej córcece Jani, wracając z ogrodu zoologicznego.

Maryja Weryho.

DZIECI W MIEŚCIE.



arynia, Kazia i Józia nigdy jeszcze w mieście nie były, mieszkały na wsi, jeździły tylko kilkakrotnie do pobliskiego miasteczka. Wielka to radość była dla dzieci, gdy mama powiedziała im, że na całą zimę pojedą do Warszawy. Mama zaczęła pakować różne rzeczy i naza jutrz wszyscy już siedzieli w karecie. Droga prowadziła przez to samo miasteczko, później skręcili w boczną drogę i zajechali do stacyi, z której mieli

dojechać pociągiem do Warszawy.

— Czy prędko przyjdzie pociąg? — zapytała mama numerowego.

— Za pięć minut — odrzekł tenże.

— Dobrze, żeśmy się nie spóźnili — mówiła matka do dzieci.

Po pięciu minutach właśnie nadszedł pociąg. Najpierwej ukazała się lokomotywa buchająca parą, a z małych okienek wagonów, wyglądały głowy ciekawych. Pociąg zatrzymał się. Z sali wyszły tłumy ludzi, nasi podróżni stali na platformie. Gdy pociąg stanął, zaczęto krzyczeć, wysiadać, wsiadać, wszyscy tłoczyli się w tę i w tamtą stronę. Mama z dziećmi usiadła w 2-jej klasie, dzieci zapytywały ją o różne rzeczy np.

— Dla czego to dzwonią? I czy konie ciągną ten pociąg?

Tymczasem pociąg ruszył. Zaczęły się znowu pytania, a jakim sposobem ten pociąg jedzie, a dla czego ta para bucha? i wszystko na raz. Po tak ciągłych pytaniach, na które mama odpowiadała, dzieci znużone usnęły. Wtem nagle obudził je odgłos świstawki, później silne dzwonięcie. Pierwsza obudziła się Józia, i zobaczyła światelko palące się w kącie wagonu, oraz usłyszała wołanie: „Wołomin, trzy minuty.” „Czy to już niedługo Warszawa?” pytały dzieci budząc się. Mama odpowiedziała:

— Już niedługo, zaraz pierwsza stacya.

— Ale to jeszcze nie Warszawa? — spytała ziewając Kazia. — Pociąg ruszył i znowu jechano dalej.

Mama zaczęła ubierać dzieci i czesała im włosy grzebykiem.

— Otóż i Warszawa! — rzekła, wskazując na różne światelka ukazujące się w oddaleniu.

Nagle dało się słyszeć gwizdnięcie lokomotywy, potem odgłos dzwonka i pociąg stanął. Kazia chciała wysiąść, ale mama powiedziała:

— Czekaj, niech przyjdzie numerowy i zabierze nasze rzeczy.

— I gdzież on je zabierze? — wykrzyknęła z rozpaczą Józia.

— Przecież on nie chce ich sobie zabierać—odrzekła Marynia. — Zaniesie je do karetki. Wszedł też numerowy, zabrał rzeczy i pomógł dzieciom wysiąść z wagonu. Wszyscy weszli do sali gdzie stało rzędem dużo ludzi wołając z całych sił: „Europejski! Polski! Krakowski! Paryski! Rzymski!” „Karetki!” wołali z drugiej strony stojący stangreci. Dzieci przerażone tym krzykiem, stały spokojnie przy mamie, bojąc się słowa przemówić. Mama zwróciła się do jednego z tych ludzi. „Proszę o numer karetki, jadę na Marszałkowską ulicę, Nr. 30”. Woźnica zadowolony odszedł, a mama podążyła za nim. Dzieci otaczały ją. Za rękę trzymała Marynię, a zobaczywszy że karetki dobra i wygodna, wsiadła do niej razem z dziećmi, przy niesionym kufer, ruszono przez Pragę na most i z łoskotem wjechało do Warszawy. „Mamo! mamo! Cóż za dziwny powóz—rzekła Kazia pokazując na tramwaj, a jak tu dużo ludzi, domów!” Wreszcie zajechano na ulicę Marszałkowską. Mama zapłaciła stangretowi, i weszli do wielkiej bramy, na schody, aż na 2 piętro, które gaz oświecał. Zadzwoniono do drzwi. Otworzyła je służąca w białym fartuszkach, a za nią ukazała się ciocia.

— A! przyjechaliście! — zawołała — jak się masz Jadwinieczko!

— Ciociu, ciociu, jak się ciocia ma! — wołały dzieci. — Jak się macie — mówiła znowu ciocia całując dzieci każde z osobna. — Chodźcie jeść i pić herbatę, są świeżutkie bułki i masło, musicie być głodni i spragnieni, a i ciastka są dobre.—Dzieci wszakże pobiegły pierwwej do okna patrzeć na ruch uliczny, który je bardzo zaciekawiał. Patrzyły jak mijały się ciągle powozy z latarniami, a i ludzi było dość na chodnikach, potem zaczęły oglądać mieszkanie cioci, która je wszędzie sama oprowadzała, a wreszcie zapytywały ją o to i owo, a gdy im obiecała że na drugi dzień sama pojedzie z niemi na spa-

cer i zaprowadzi do gabinetu zoologicznego, nie posiadały się z radości i długo zasnąć nie mogły.

ZŁOŚLIWA SWAWOLA.

Raz, kiedy się już wszyscy w domu pospali,
Złościcy mali,

Czuwający tylko sami,
Ze swawoli wnet wypadli
Z rozpalonemi żagwiami.
Na strych domu się zakradli,
Aby puszczyki do ucieczki zmusić,
Albo olśnione wyłapać i zdusić.
A choć im nieraz powiadali starzy:

„Ostrożnie z ogniem bo parzy,
Bo mała iskra wielki pożar nieci”.
Nie zważały na to dzieci,
Bo zwykle głos starszych miały za nic,
I w samowoli nie znały granic;
I rade, że puszczyki z poddasza
Żagiew wystrasza.

Póty tam wszystkie płądrowały kąty,
Aż się zajęły stare, suche gonty
I w oka mgnieniu
Cały dach stanął w płomieniu!
I dom by cały poszedł z dymem pewno;
Lecz w tejże chwili, jak gdyby cud Boski,
Spuścił nań chmurę ulewną,
A lud wszystek z bliskiej wioski,
Zbiegłszy się by ratować swe pocziwe pany,
Z nimi i z wierną ich gromadką wspoły,
Zgasił ogień, co ową zlewą hamowany,
Szczyt tylko gmachu obrócił w popioły
I dymem okopcił ściany.
Panicze, sprawcy tej trwogi i szkody,
Przestraszeni, osmoleni,
Głową ze strychu policzywszy schody,
I stoczywszy się do ziemi
Ztamtąd schyłkiem, na czworakach,
Zbiegli i ze wstydem w krzakach
Przesiedzieli aż do chwili,
Gdy starsi ogień zgasili.

A. P.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

— O! to zupełnie co innego! ale mama nigdy nie nazwie odważnym człowieka, który się lęka, aby go powóz nie przejechał.

— Wiesz co? — rzekła mama z uśmiechem — i ja bym nie chciała, żeby mi się podobny wypadek wydarzył, a przecież bojaźliwą nie jestem.

Lucia zasnęła na kolanach mamy, Julek leżał na białym puszystym dywanie przed kominkiem i patrzył przed siebie, a ogień odbijał się w jego dużych oczach,

ja zaś klęczałem przy mamy fotelu i broniąc z zapalem swojego zdania zaplatałem w warkoczyk frendzlej sukni.

— Mama nie rozumie co ja chciałem powiedzieć.
— I owszem, rozumiem doskonale, ale może mam inne pojęcie o odwadze niż ty.

— Ale mam, ja myślę...

— Tak... tobie się zdaje, że człowiek, który włoży głowę w lwią paszczę, albo wskoczy bez powodu do palącego się domu, da tem samem dowód wielkiej odwagi; a jabym tego znów nie nazwała odwagą ale szaleństwem.

— Więc mama nie chce żebyśmy byli odważni?

— Przeciwnie, mój chłopcze, bardzo tego pragnę i codziennie proszę Boga, żeby z was zrobił dzielnych i zanych ludzi.

— Niech mi więc mama powie, co mama nazywa odwagą?

— Odważnym jest każdy, kto spokojnie stawia czoło niebezpieczeństwu, ale sam się na nie ślepo nie naraża. Wiesz Tomku, że nie ten jest najlepszym wodzem, który się przebijie przez wrogów gdy go otoczą i zniecka napadną, ale ten, który nie da się nieprzyjacielowi ani okrążyć ani podejść. I nieraz zdarza się, że ludzie wcale nie odważni, ale tylko nierozumni mają najwięcej przygód w życiu. Przytem, mój chłopcze, odwaga powinna mieć swój cel, bo narażenie się na niebezpieczeństwa bez powodu, dowodzi tylko braku zastanowienia. Czy mię dobrze rozumiesz?

— Tak, ale niezupełnie.

— A więc uważaj: Człowiek, który w czasie burzy wypłynie na morze aby ratować załogę tonącego okrętu, jest odważnym; ale człowiek który w burzę puszca się na pełne morze, dla tego jedynie że wyprawa taka jest niebezpieczną, daje dowód zuchwalstwa.

Tu nastąpiła chwila milczenia. Wziąłem delikatną, białą rękę mamy, zsunąłem z jej palców wszystkie pierścionki, i nałożyłem je na swoją czarną, opaloną łapę. Mama znów zaczęła mówić:

— Tak, przy pomocy Bożej, wyrośnięcie obaj na dzielnych ludzi i kiedyś mamą opiekować się będziecie; zresztą i bez tego, zdarzy się wam nieraz sposobność do okazania odwagi.

— W jaki sposób? — zapytał Julek blady i drżący na samą myśl, że może być kiedyś narażony na niebezpieczeństwo.

— Będziesz żołnierzem Julku, i postawią ciebie wprost przed armatami. Prawda mam?

— Nie, nigdy nie będę żołnierzem? — zawołał Julek na wprost z płaczem.

— Już nim jesteś kochanku, i powinienes być do końca życia dzielny, wytrwały i wiernym żołnierzem Chrystusa, powinienes mężnie walczyć pod Jego sztandarem i otwarcie wyznawać i głosić Jego zasady i wiarę. Daj Boże abyście byli dobrymi żołnierzami, bo do tej walki wiele odwagi potrzeba. Trudniej zwyciężyć pokusę niż poskromić dzikie zwierzęta, a często powiedziec prawdę więcej nas kosztuje niż stanąć przed wyłotem nabitej armaty. Dzielny człowiek zawsze prawdę mówi Tomku, pamiętaj, że tylko tchórze kłamią. Ale

wstawajcie już chłopcy, widzicie, ojciec już przyszedł i Lucia mocno zasnęła. Tomku, nie umiesz jeszcze lekcyj na jutro; naucz się ich dobrze zanim pójdziesz spać, a ja niebawem powrócę, aby cię przesłuchać.

II.

Po tej rozmowie dużo, dużo czasu upłynęło zanim znów przed kominkiem słuchaliśmy opowiadań i uwag mamy; dlatego może tak ją dobrze pamiętam. Przytem Julek ciągle o niej wspominał, a wypadki, które zaszły w następnych sześciu miesiącach, stanowiące właśnie treść tej książki, uczyniły zrozumiałem i jasnem wszystko co mama mówiła.

Codziennie o 9 zrana chodziliśmy do szkoły, jedliśmy tam wczesny obiad i wracali o trzeciej do domu. Następnego dnia po rozmowie z mamą miałem ogromny kłopot z mojami lekcjami, bo wieczorem tak mi się spać chciało, że zapomniałem się nauczyć i wtedy dopiero zacząłem o nich myśleć jak nauczyciel wyrwał mię z historyi, a ja nic a nic nie umiałem. Kazano mi siedzieć w klasie podczas gdy inni chłopcy bawili się w piłkę na podwórzu, a gdy o trzeciej wypuszczono mię nareszcie z mojego więzienia, obaj spiesznie poszliśmy do domu.

Wchodząc na podwórze zdziwieni byliśmy ujrawszy ojca wyglądającego przez okno jadalnego pokoju, bo o tej godzinie zazwyczaj był jeszcze zajęty w biurze; sam nam drzwi otworzył, ale nie pozwolił biedz wprost do dziecinnego pokoju, lecz kazał iść za sobą do sali jadalnej, gdzie na podłodze przy drzwiach zobaczyliśmy tłumoczek podróży a na nim przyklejony papier z napisem: „Master Carter do Silverhill”. Nie pamiętam czym już powiedział że nazwisko ojca było Carter, więc „Master Carter” mógł być tylko Julek albo ja. Dla tego też obaj patrzyliśmy z wielkiem zdziwieniem to na tłumoczek, to na siebie, to na ojca.

Ojciec tymczasem usiadł na fotelu i zawołał nas do siebie. Powiedział nam że Lucia zachorowała na szkarlatynę i doktor utrzymuje że to jest zaraźliwa choroba, a ponieważ ani Julek ani ja nigdy jej nie mieliśmy, mamy pojechać zaraz dzisiaj do Silverhill, gdzie nas przyjmą dobrzy, poczciwi dzierżawcy, którzy znali ojca, gdy był jeszcze małym chłopcem, i będą się nami opiekowali aż Lucia wyzdrowieje i wszelkie niebezpieczeństwo przeminie.

— Ani mama, ani ja nie mogę z wami pojechać, — mówił ojciec—ale jesteście już duże chłopaki, i spodziewam się że będziecie się dobrze sprawowali i słuchali pani Blossom, tak jakbyście rodziców słuchali.

Ojciec dawał nam jeszcze wiele przestroż i dodał w końcu, że mama nie przyjdzie się z nami pożegnać, bo jest przy chorej Luci i mogłaby nam przynieść zarazę. W tej chwili powóz zaszedł, służąca wyniosła nasz tłumoczek i już mieliśmy wsiadać gdy usłyszałem, że ktoś mię zawołał po imieniu. Odwróciłem głowę i ujrzałem mamę stojącą na samym wierzchu schodów.

— Nie zbliżajcie się do mnie moje dzieci — powiedziała mama — ale nle mogłam was puścić bez pożegnania i błogosławieństwa. Bądźcie zawsze dobrymi, poczciwymi chłopcami. Pamiętaj Tomku, że odwaga i zuchwalstwo to dwie zupełnie różne rzeczy.

Było to jednak więcej niżem mógł znieść. Widzieć mamę na szczycie schodów i słyszeć jak się z daleka z nami żegnała, przenosiło moje siły. Zanim więc mówić przestała, wleciałem jak szalony na górę przeskakując po cztery stopnie na raz, zarzuciłem jej ręce na szyję wołając: „Do widzenia mamó, do widzenia, ja się nic a nic nie boję szkarlatyny”. Ale mama patrzyła na mnie smutna i niezadowolona, odjęła moje ręce od swojej szyi i kazała mi natychmiast zejść na dół. Z daleka jeszcze posyłała ręką pocałunki Julkowi, który stał pod ścianą błady i drżący, i powiedziała: „Do widzenia ci Julku, poczciwy, odważny chłopcze. Chwilę później jechaliśmy na stację kolei, z ojcem który nas sam chciał wsadzić do wagonu.

(d. c. n.)

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Dwie zgłoski, czytaj razem wprost, albo od końca
Wszystko, wszystkich dostrzega w blasku ognia, słońca;
Jedno tylko wciąż jasne, tam na wysokości,
Przenika noc i ducha najgłębsze ciemności.

Zabawa z patyczków.

Z 8-miu patyczków równej długości ułożyć wielkimi, drukowanymi literami wyrazy, których znaczenie:
1. Nazwa uprawionej ziemi. 2. Zaimek wskazujący.
3. Przymiotnik. 4. Gruby powróż. 5. Pieszczotliwa nazwa członka rodziny. 6. Kwiat z rodziny cebulowatych.
7. Przeciąg czasu w liczb. mn. 8. Przymiotnik. 9. Ulewny deszcz. 10. Kwiaty z rodziny krzyżowych zwane także żółte fiołki. 11. Roślina z rodziny lenowatych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Łamigłówni sylabowój:

1. LikeoS. 1. IturuP. 3. KumA. 4. UlsteR. 5. RabaT.
6. Grenada.

Likurg — Sparta.

Skrzynka do listów.

Rs. 21 oddane stosownie do życzenia U. z K., którą prosimy o adres dla przesłania szczegółowego rachunku.

Pani Kudr. serdecznie wdzięczni jesteśmy za słowo zachęty i uznania, najmiłsza to nagroda naszej pracy. Żądane numera „Zwalzonego uprzedzenia”, już zostały przesłane, nie się za nie należy. Za przesyłkę w imieniu obdarowanych serdecznie dziękujemy.

Za przesyłkę podobną, nie mniej wdzięczni jesteśmy Ufance M. Rosicze z nad rowu, Maniusi, Jadzi i Zosi.

Kochanym korespondentom naszym, którzy nadesłali nam opłatki wraz z życzeniem Świąt wesołych serdecznie dziękujemy za pamięć o nas i nawzajem przesyłamy im życzenia. Niech rosną szczęśliwie i zdrowo na chwałę Bogu. W imieniu ubogich dzieci dziękujemy także wszystkim, którzy o nich pamiętali.

Nowa korespondentka, Śnieżka z nad Czarnej, w tak ślicznych, tak serdecznie dobranych wyrazach wypowiedziała nam ży-

czenia swoje, że jej osobno zasylamy podziękowanie. Dziewięcioletnia dziewczynka, która „czuje, że powinna pokonać nieśmiałość, aby podziękować tym, którzy układają kochane Wieczory” rokuje, że na przyszłość i w ważniejszych rzeczach także się pokonywać potrafi.

A co, widzisz, Łodyżko, że Redakcyja ani tak jest surową, ani tak wymagającą, jak ci się zdawało!

Zabce nadodrzańskiej oraz jej braciszce **Komarowi** serdecznie pragnęlibyśmy dogodzić i uczynimy zadość ich życzeniu skoro tylko autorka podaży opisać dalsze przygody Luci i Józia.

Góralce z całego serca życzymy pomyślnego zdania egzaminu i prosimy, niech dotrzyma obietnicy, niech zawsze życzliwie wspomina te, które dla całej waszej gromadki, droga dziatwo, żywią macierzyńskie uczucie. Numer żądany wysyłamy.

Ufance oprócz podziękowania za pamięć o „ubogich” osobno jeszcze dziękujemy za to, że poprawnie wyrażać się umie. Wspiera się ubogich tylko; *biednymi* zaś bywają często ludzie wcale nie potrzebujący wsparcia. Mieszanie dwóch tych pojęć jest błędem bardzo u nas zakorzenionym, a wystrzegać się go należy, dłażegóż bowiem dobrowolnie ubożyć język w którym na każdy odcień myśli, znajdzie się osobny wyraz.

Prawdo kochana, masz szczególny dar trafiania nam wprost do serca. W samej rzeczy, marzyć nawet nie możemy o wspanialszej nagrodzie za naszą pracę: przyczynić się, o ile w naszej jest mocy do zrobienia z was zacnych, użytecznych ludzi — to jedyne nasze pragnienie, a kto je pojął, ten przez to samo daje nam dowód, że je spełni.

Nie mylisz się, **Gamo C-dur**, pseudonym twój stoi w rzędzie zasługujących na pochlebną wzmiankę. Nie pierwszy to raz; dłażegóż tak się temu dziwisz, nowo-mianowana staruszko? Mamy nadzieję, że dotrzymasz obietnicy i należec będziesz do konkursu, który ogłosimy dla sędziwych naszych przyjaciółek.

Kuropatewko z nad Warty, za „ucalowanie rączek” przesyłamy „małej dziewczynce” serdeczne uściśnienia.

Kosodrzewina z Babiej-góry musi się zastosować do warunków podanych w kalendarzyku, gdyż nie jest to konkurs Redakcyi. Te malutkie paluszki pięcioletniej siostrzyczki, które już się biorą do szycia sukienki dla ubogiego dziecka, warte są nagrody i nie wątpimy że ją otrzymają.

Sarence Lubelskiej wysyłamy nagrodę, zawsze jednak prosimy, aby kochani korespondenci starali się sami je odbierać.

„Nieznajoma Pani” odwzajemnia **Horpynie** szczerą sympatyę i prosi by podziękować w jej imieniu za życzenia jakie jej Horpyna przesyła.

Prymulko droga, chcielibyśmy zadość uczynić twemu żądaniu, ale nie wszystko zrobić można, coby się zrobić pragnęło.

Wróżbiarko szczęścia, umiesz przemawiać tak serdecznymi słowami, że najwymowniejszą odpowiedzią na nie jest szczerzy uścisk macierzyński.

Jaśko Warszawiak, miły i zasłużony korespondent przedstawia nam siostrzyczkę swoją, **Skrzętną Pszczółkę**, którą życzliwie witamy. Łamigłówni, którą J. W. nam przysłał, dobrą jest, lecz nie do druku; powiatkę chętnie przeczytamy. Rozwiązanie łamigłówni trafne.

Konwalijce damy stanowczą odpowiedź po przeczytaniu łamigłówni, w wolnej chwili.

Guciu R. i twoja łamigłówni także nie nadaje się do druku. Przypominamy przytem kochanym korespondentom, że łamigłówni, liściki, szarady i t. p. muszą być pisane na osobnych karteczkach.

Muszko z nad Wieprza, ślicznie piszesz w dwóch liniijkach, ale... zastosuj to przypomnienie do siebie.

Szan. p. Sok. sprawiła nam prawdziwą przyjemność wiadomościami, których nam udziela o swoich dziewczynkach. Słusznie czyni Szan. Pani dbając o kształtność pisma Maryni; przymiot to niezmiernie pożądany, a coraz rzadszy. **Małej Maryni**, w zamian za życzenia przesyłamy uścisk.